

JOSEPH
FINDER
POGRZEBANE
TAJEMNICE

I ŻYWCEM ZAKOPANA
DZIEWCZYNA

CZY NICK HELLER
JĄ OCALI?



*Dedykowane pamięci Jacka McGeorge'a i Kena Kooistry,
którzy chętnie dzielili się wiedzą,
a w końcu zostali moimi przyjaciółmi*

*A także mojej kochanej kuzynce, Lindzie Gardner Segal
– odeszłaś o wiele za wcześnie*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Bywają tajemnice, które nie dają się wypowiedzieć. Ludzie konają nocami w swych łóżach, ściskając dłonie upiornych spowiedników i patrząc im żałośnie w oczy – konają z rozpaczą w sercu i zdławionym gardłem z powodu tajemnic, które nie znoszą, aby je wyjawiano. Zdarza się, niestety, że sumienie ludzkie dźwiga tak ciężkie brzemię okropności, iż może pozbyć się go tylko w grobie. Stąd to istota wszelkiej zbrodni pozostaje w ukryciu.

Edgar Allan Poe, *Człowiek głuchoty* (1840)
w przekładzie Stanisława Wyrzykowskiego

1

Jeśli tak wygląda więzienie, pomyślała Alexa Marcus, to spokojnie mogłabym tutaj zamieszkać. Choćby na zawsze.

Razem z Taylor Armstrong, swoją najlepszą przyjaciółką, stały w długiej kolejce przed najmodniejszym barem w Bostonie. Bar nazywał się Pudło i mieścił w luksusowym hotelu, w który przekształcono dawne więzienie. Właściciele pozostawili kraty w oknach oraz olbrzymi okrągły plac otoczony pomostami, chcąc zachować więzienny klimat.

Oglądała się na grupkę chłopców, którzy wyglądali jak członkowie elitarnego studenckiego stowarzyszenia z MIT, za wszelką cenę próbujący sprawić odjazdowe wrażenie: wypuszczone koszule, tanie sportowe marynarki, ufryzowane włosy, toksyczne opary dezodorantu Axe. O drugiej w nocy chwiejnie ruszą do domu, rzygając na moście prowadzącym do Cambridge i narzekając, że wszystkie dziewczyny z Pudła to zdiry.

– Piękne przydymione powieki – odezwała się Taylor, przyglądając się makijażowi oczu Alexy. – Widzisz? Bardzo ci pasują.

– Malowałam je chyba godzinę – odrzekła Alexa. Sztuczne rzęsy, czarna żelowa kredka do oczu i cień do powiek w kolorze węgla: wyglądała jak dziwka, którą pobił alfons.

– Mnie to zajmuje trzydzieści sekund – powiedziała Taylor. – Tylko popatrz na siebie. Teraz jesteś superlaską, a nie studentką z przedmieścia.

– Wcale nie wyglądam jak dziewczyna z przedmieścia – zaprotestowała Alexa. Zerknęła na dwóch chudych chłopców o europejskim wyglądzie, którzy palili i rozmawiali przez komórki. Niezłe ciacha, ale może to geje? – Tata mieszka w Manchesterze. – Prawie powiedziała „Mieszkam w Manchesterze”, ale już nie uważała olbrzymiej rudery, gdzie dorastała, za swój dom, po tym, jak jej tata ożenił się z Belindą, stewardesą, której zależało tylko na jego kasie. Wyprowadziła się z domu niemal cztery lata temu i wyjechała do Exeter.

– Niech ci będzie – odpowiedziała Taylor. Alexa zwróciła uwagę na ton jej głosu. Taylor bez przerwy przypominała wszystkim, że jest miastowa. Dorastała w rezydencji na Beacon Hill, przy Louisburg Square – jej tata był amerykańskim senatorem – więc uznawała się za fajniejszą i cwańszą od innych. Poza tym ostatnie trzy lata spędziła na odwyku w Akademii Marston-Lee, surowej „terapeutycznej szkole z internatem” w Kolorado, gdzie senator ją posłał, żeby wyleczyła się z nałogu.

Powodzenia.

Za każdym razem, gdy Taylor wracała do Bostonu podczas ferii, wyglądała jak inna gwiazdka porno. W zeszłym roku miała grzywkę i włosy ufarbowane na czarno. Teraz nosiła obcisłe czarne legginsy, za dużą przezroczystą szarą bluzkę, czarny koronkowy biustonosz i trzewiki nabijane ćwiekami. Alexa, która nie była tak rozrywkowa, miała na sobie ciemne wąskie dżinsy oraz jasnobrązową skórzaną kurtkę od Tory Burch, zarzuconą na podkoszulek bez rękawów. Może nie była aż tak modna jak Taylor, ale na pewno nie wyglądała na dziewczynę z przedmieścia.

– O Boże – mruknęła Alexa, gdy kolejka zbliżyła się do bramkarza.

- Wyluzuj, Lucia – rzuciła Taylor.
- Lucia...? – zaczęła Alexa, po czym przypomniała sobie, że takie imię widnieje na jej podrobionym dokumencie tożsamości. Tak naprawdę dokument był autentyczny, tylko nie należał do niej – miała siedemnaście lat, a Taylor właśnie skończyła osiemnaście, tymczasem alkohol można było kupić dopiero od dwudziestego pierwszego roku życia, co stanowiło idiotyzm. Taylor kupiła dokument Alexy od starszej dziewczyny.
- Patrz bramkarzowi w oczy i zachowuj się swobodnie – poradziła. – Wszystko będzie dobrze.

. . .

Taylor oczywiście miała rację. Bramkarz nie poprosił ich o dokumenty. Kiedy weszły do hotelowego holu, Alexa podążyła za Taylor do staroświeckiej windy wyposażonej w licznik pięter ze strzałką. Drzwi windy się otworzyły, a znajdująca się za nimi żelazna krata odsunęła się i złożyła jak harmonijka. Taylor wsiadła do kabiny z kilkoma innymi osobami. Alexa się zawahała, wślizgnęła do środka, zadrżała – Boże, nienawidziła wind! – a gdy krata się zatrzaśniwała, wykrztusiła: – Pójdę schodami.

Spotkały się na czwartym piętrze, gdzie zdołały znaleźć dwa duże, wygodne fotele. Kelnerka w wiązanej bluzce, tak skąpej, że widać było wytatuowany pod pachą kwiatek, przyjęła od nich zamówienie: dwie wódki Ketel One z wodą sodową.

– Spójrz na te dziewczyny na barze – zawołała Taylor. Modelki ubrane w czarne skórzane szorty obnażające tyłek i czarne skórzane kamizelki paradowały po kontuarze, jakby to był wybieg.

Jeden ze studentów MIT próbował poderwać Taylor i Alexę, ale Taylor go spławiła.

- Jasne, zadzwonię do ciebie... kiedy będę potrzebowała

korków z rachunku różniczkowego.

Alexa poczuła na sobie spojrzenie koleżanki.

– Co się dzieje, dzieciaku? Odkąd przyszyliśmy, jesteś zdołowana.

– Nic mi nie jest.

– Może przydałaby ci się zmiana leków?

Alexa pokręciła głową.

– Po prostu mój tata ostatnio zachowuje się... czy ja wiem... dziwnie.

– To nic nowego.

– Ale teraz wpadł w prawdziwą paranoję. Zamontował w całym domu kamery.

– No wiesz, w końcu jest najbogatszym gościem w Bostonie. Albo jednym z najbogatszych...

– Wiem, wiem – przerwała jej Alexa, nie chcąc tego słuchać. Całe życie musiała się zmagać z piętnem bogatego dzieciaka: udawała, że pieniądze nie są ważne, żeby jej znajomi nie czuli się zazdrośni. – Ale to nie wynika z jego normalnego zamiłowania do kontroli. Zupełnie jakby się bał, że coś się wydarzy.

– Spróbuj pomieszkać z pieprzonym senatorem.

Taylor najwyraźniej zaczęła się czuć nieswojo. Przewróciła oczami, lekceważąco pokręciła głową i rozejrzała się po coraz bardziej zatłoczonym barze.

– Muszę się jeszcze napić – powiedziała. Zawołała kelnerkę i zamówiła martini z zalewą z oliwek. – A ty? – spytała Alexę.

– Nie, dziękuję. – Tak naprawdę Alexa nie znosiła wysokoprocentowych trunków, zwłaszcza wódki. A najgorszy był gin. Jak ktokolwiek może z własnej woli pić to paskudztwo? Równie dobrze można by żłopać terpentynę.

iPhone Alexy zawibrował, więc go wyjęła i przeczytała SMS-a. Koleżanka pisała z imprezki w Allston, że jest bosko i Alexa powinna przyjechać. Odpisała, że nie może. Nagle coś sobie przypomniała.

– O mój Boże, pokazywałam ci to? – Zaczęła przerzucać kolejne aplikacje, aż znalazła tę, którą niedawno ściągnęła. Uruchomiła ją i przyłożyła iPhone’a do ust. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał piskliwie i dziwacznie, jak u Chipa i Dale’a. – Hej, mała, chcesz wpaść do mojego akademika? Zrucasz ciuszki i nauczymy się algebry.

Taylor aż pisnęła z radości.

– Co to jest? – Próbowała chwycić telefon, ale Alexa cofnęła rękę, a następnie przesunęła palcem po ekranie i nagle zaczęła mówić niepokojącym głosem Golluma z *Władcy Pierścieni*.

– Mój ssskarb!

Taylor wrzasnęła i obie zaczęły się śmiać tak mocno, aż łzy napłynęły im do oczu.

– Widzisz, od razu czujesz się lepiej, prawda? – odezwała się Taylor.

– Mogę do was dołączyć? – spytał jakiś męski głos.

Alexa podniosła wzrok i zobaczyła faceta stojącego przy ich fotelach. To nie był jeden ze studentów. Zdecydowanie nie. Miał ciemne włosy i brązowe oczy, jednodniowy zarost i był słodziutki. Czarna koszula w białe prążki, wąskie biodra, szerokie ramiona.

Alexa się uśmiechnęła, zaczerwieniła – wbrew sobie – i popatrzyła na koleżankę.

– Znamy się? – zapytała Taylor.

– Jeszcze nie – odrzekł facet, posyłając im oszałamiający uśmiech. Zbliżał się do trzydziestki albo niedawno ją przekroczył. Trudno było stwierdzić. – Znajomi mnie zostawili. Pojechali na imprezę do South End, na którą nie mam ochoty się wybrać. – Mówił z hiszpańskim akcentem.

– Mamy tylko dwa fotele – oznajmiła Taylor.

Powiedział coś do pary siedzącej obok i po chwili przysunął wolny fotel. Podał rękę Taylor, a następnie Aleksie.

– Mam na imię Lorenzo.

2

W łazience stało mydło w płynie Molton Brown (odmiana Thai Vert) i leżały prawdziwe ręczniki, poskładane w idealne kwadraty. Alexa nałożyła nową warstwę błyszczycy do ust, podczas gdy Taylor poprawiała makijaż oczu.

– On totalnie na ciebie leci – stwierdziła Taylor.

– O czym ty mówisz?

– Nie udawaj, że tego nie widzisz. – Taylor obrysowywała oczy ołówkiem do powiek.

– Jak myślisz, ile ma lat?

– Nie wiem, trzydzieści parę?

– Trzydzieści parę? Myślałam, że najwyżej trzydzieści. Sądysz, że wie, że mamy dopiero... – Urwała, gdy do łazienki weszły kolejne dwie dziewczyny.

– Nie krępuj się – odparła Taylor. – Wszystko jest w porządku. Możesz mi zaufać.

. . .

Kiedy wreszcie udało im się przepchnąć z powrotem do swoich foteli, Alexa, którą bolały uszy od obłądnie głośno puszczanych kawałków Black Eyed Peas, miała nadzieję, że Lorenza już nie będzie.

Jednak wciąż czekał, siedząc niedbale w fotelu i sącząc wódkę. Alexa sięgnęła po swojego drinka – Peartini, które

polecił jej Lorenzo – i z zaskoczeniem stwierdziła, że wypila już połowę. „Rany, naprawdę jestem pijana”.

Lorenzo posłał jej olśniewający uśmiech. Zauważyła, że jego oczy nie są zwyczajnie brązowe, ale jasnobrązowe. Jak kwarcowe tygrysie oko, pomyślała. Miała obrózkę wysadzaną takimi kamieniami, którą mama podarowała jej dwa miesiące przed śmiercią. Nie potrafiła się zmusić, żeby ją założyć, ale uwielbiała na nią patrzeć.

– Wybaczcie, dzieciaki, ale naprawdę muszę już lecieć – odezwała się Taylor.

– Taylor! – oburzyła się Alexa.

– Dlaczego? – spytał Lorenzo. – Proszę, zostań.

– Nie mogę. Tata na mnie czeka. – Z konspiracyjnym błyskiem w oku Taylor pomachała im na pożegnanie i zniknęła w tłumie.

Lorenzo przesiadł się na jej fotel.

– Trudno. Opowiedz mi coś o sobie, Lucio. Dlaczego nigdy wcześniej cię tutaj nie widziałem?

Przez chwilę nie wiedziała, kim jest „Lucia”.

. . .

Teraz z pewnością była pijana.

Miała wrażenie, że unosi się ponad chmurami, śpiewając razem z Rihanną, uśmiechnięta jak idiotka, podczas gdy Lorenzo coś do niej mówił. Pomieszczenie falowało. Z coraz większym trudem oddzielała jego głos od kakofonii tysiąca rozmów, ich strzępków, kolejnych warstw, które nie miały najmniejszego sensu. Zaschło jej w ustach. Sięgnęła po swoją szklankę z San Pellegrino i ją przewróciła. Uśmiechnęła się wstydliwie. Z rozdziawionymi ustami popatrzyła na rozlaną wodę, zaskoczona, że szklanka się nie rozbiła, i głupkowato się uśmiechnęła, a Lorenzo odwzajemnił się swoim efektownym uśmiechem. Miał łagodne i seksowne spojrzenie. Położył serwetkę na kałuży, żeby ją wysuszyć.

– Chyba powinnam wracać do domu – powiedziała Alexa.

– Odwiozę cię.

Rzucił kilka dwudziestodolarówek na blat, wstał i sięgnął po dłoń dziewczyny. Spróbowała wstać, ale miała wrażenie, że zamiast kolan ma zawiasy. Ponownie wziął ją za rękę, objął w pasie i podniósł.

– Mój samochód...

– Nie powinnaś prowadzić – odparł. – Odwiozę cię do domu. Samochód odbierzesz jutro.

– Ale...

– To żaden problem. Chodź, Lucio. – Jego silne ręce poprowadziły ją poprzez tłum. Ludzie się jej przyglądali i uśmiechali kpiąco, a ich śmiech odbijał się echem. Światła migotały i rozpląwały się w tęczę, jakby byli pod wodą i spoglądali na niebo. Wszystko znajdowało się tak daleko.

. . .

Poczuła na twarzy przyjemny chłód nocnego powietrza. Gdzieś obok rozbrzmiewały niewyraźne odgłosy samochodów i trąbienie klaksonów.

Leżała na tylnym siedzeniu nieznanego samochodu, z policzkiem przyciśniętym do zimnej i twardej popękanej skóry. W aucie cuchnęło starym dymem papierosowym i piwem. Kilka butelek po piwie przetaczało się po podłodze. To na pewno był jaguar, ale stary, śmierdzący i brudny w środku. Nie spodziewała się, że facet pokroju Lorenza jeździ czymś takim.

– Wiesz, dokąd jechać? – spróbowała spytać, ale jej słowa zabrzmiały niewyraźnie.

Było jej niedobrze i miała nadzieję, że nie zwymiotuje w jaguarze Lorenza. To by było paskudne.

Zastanawiała się, skąd on zna drogę.

. . .

Usłyszała, że drzwi samochodu otwierają się i zamykają. Silnik nie pracował. Dlaczego tak szybko się zatrzymali?

Kiedy otworzyła oczy, zauważyła, że otacza ich ciemność. Żadnych latarni. Żadnych odgłosów ruchu ulicznego. W ociężałym mózgu poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Czy ją tutaj zostawi? Gdzie oni są? Co on robi?

Ktoś szedł w stronę jaguara. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć twarz przybysza. Alexa widziała tylko smukłą, potężną sylwetkę.

Drzwi się otworzyły, a rozbłysk światła wydobyl z mroku oblicze mężczyzny. Ogolona głowa, przeszywające niebieskie oczy, ostro zarysowana, nieogolona szczeka. Wyglądał na przystojnego, dopóki się nie uśmiechnął i nie pokazał brązowych szczurzych zębów.

– Proszę, chodź ze mną – powiedział.

. . .

Ocknęła się z tyłu dużego nowego SUV-a. Cadillaca escalade albo lincolna navigatora.

Było bardzo ciepło, niemal gorąco. Pachniało tanim odświeżaczem powietrza.

Popatrzyła na tył głowy kierowcy. Miał ogolone czarne włosy. Na jego karku widniał dziwny tatuaż wypełzający spod koszulki. W pierwszej chwili pomyślała, że to wściekle oczy. A może jakiś ptak?

– Co się stało z Lorenzem? – próbowała spytać, ale nie była pewna, jakie słowa wydobyły się z jej ust.

– Połóż się wygodnie i odpoczywaj, Alexo – odrzekł mężczyzna. Również mówił z akcentem, ale bardziej szorstkim i gardłowym.

Dobry pomysł. Poczwała, że odpływa w sen, ale nagle jej serce mocniej zabiło, jakby jej ciało zrozumiało to szybciej niż umysł.

On zna jej prawdziwie imię.

3

– Po prostu zawsze lubię wiedzieć, z kim robię interesy
– oznajmił kurdupel.

Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się.

Co za palant.

Gdyby współczesna medycyna uznała niski wzrost za poważne schorzenie, we wszystkich podręcznikach znalazłoby się zdjęcie Philipa Curtisa obok podobizn Mussoliniego, Stalina, Atylli Huna oraz, oczywiście, patrona wszystkich niskich tyranów Napoleona Bonapartego. Owszem, mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale znam także wysokich facetów cierpiących na syndrom Napoleona.

Philip Curtis, jak się przedstawił, był taki drobny, że miałem wrażenie, iż mógłbym podnieść go jedną ręką i cisnąć przez okno gabinetu, na co miałem coraz większą ochotę. Miał niecały metr sześćdziesiąt, lśniąca łysinę i nosił olbrzymie okulary w czarnych oprawkach. Zapewne uważał, że dzięki nim prezentuje się bardziej okazale, podczas gdy w rzeczywistości upodabniały go do wkurzonego żółwia, który zgubił skorupę.

Klasyczny zegarek Patek Philippe na jego nadgarstku miał co najmniej sześćdziesiąt lat. To bardzo znaczące. Curtis nie nosił innych efektownych ozdób, a zegarek wyglądał na odziedziczony. Zapewne po ojcu.

– Sprawdziłem pana. – Znacząco uniósł brew. – Przeprowadziłem wyczerpującą analizę. Muszę przyznać, że nie zostawia pan wielu śladów.

– Podobno.

– Nie ma pan strony internetowej.

– Nie jest mi potrzebna.

– Nie ma pan konta na Facebooku.

– Mój nastoletni bratanek je ma. Czy to się liczy?

– Nie znalazłem prawie niczego na pana temat w internecie. Dlatego popytałem ludzi. Wygląda na to, że ma pan nietypową historię. Chodził pan do Yale, ale nie skończył studiów. Odbył pan dwa letnie staże w McKinsey, tak?

– Byłem młody. Nie wiedziałem, co dla mnie dobre.

Uśmiechał się jak gad. Ale niewielki. Na przykład gekon.

– Sam tam pracowałem.

– A już zaczynałem pana szanować – powiedziałem.

– Tylko jednego nie rozumiem. Zrezygnował pan z nauki w Yale, żeby wstąpić do wojska. Ale po co? Faceci tacy jak my tego nie robią.

– Nie uczą się w Yale?

Pokręcił głową z rozdrażnieniem.

– Wydawało mi się, że nazwisko „Heller” brzmi znajomo. Jest pan synem Victora Hellera, czyż nie?

Wzruszyłem ramionami, jakbym chciał powiedzieć: „Ma mnie pan”.

– Pański ojciec był prawdziwą legendą.

– Jest.

– Słucham?

– Jest – powtórzyłem. – Wciąż żyje. Odsiaduje dwadzieścia kilka lat w więzieniu.

– No tak. Na pewno go wrobili, prawda?

– Tak twierdzi. – Mój ojciec, Victor Heller, tak zwany Mroczny Książę Wall Street, właśnie odsiadywał dwadzieścia osiem lat za oszustwa finansowe. „Legenda”

stanowiła wyjątkowo uprzejme określenie jego osoby.

– Zawsze podziwiałem pańskiego tatę. Był prawdziwym pionierem. Ale założę się, że niektórzy potencjalni klienci mogą mieć opory przed skorzystaniem z pańskich usług, jeśli dowiedzą się, że jest pan synem Victora Hellera.

– Tak pan uważa?

– Wie pan, co mam na myśli, całe to... – Zawahał się, ale po chwili zapewne stwierdził, że nie musi kończyć. Uznał, że przekazał to, co zamierzał.

Jednak postanowiłem tak łatwo mu nie odpuścić.

– Ma pan na myśli, że jabłko pada niedaleko od jabłoni, prawda? Jaki ojciec, taki syn?

– Tak, w pewnym sensie. Niektórym może to przeszkadzać, ale nie mnie. Nic z tych rzeczy. Według mnie to oznacza, że nie będzie pan nadmiernie drobiazgowy.

– Drobiazgowy?

– No wie pan, w kłopotliwych kwestiach prawnych.

– A, już rozumiem. – Zorientowałem się, że od dłuższej chwili wyglądam przez okno. Ostatnio często to robiłem. Podobał mi się widok. Widziałem stąd High Street prowadzącą aż do oceanu, gdzie potężny marmurowy łuk we włoskim stylu obramowywał wybrzeże przy Rowes Wharf.

Przeprowadziłem się do Bostonu z Waszyngtonu kilka miesięcy temu i udało mi się znaleźć lokal w starym ceglanym budynku w dzielnicy finansowej, w odrestaurowanej dziewiętnastowiecznej fabryce ołowianych rur. Z zewnątrz budynek wyglądał jak wiktoriańskie schronisko dla ubogich rodem z Dickensa, jednak wewnątrz, pośród ścian z gołej cegły, wysokich łukowatych okien, odsłoniętych przewodów i otwartych, fabrycznych przestrzeni, nie dało się zapomnieć, że w tym miejscu kiedyś coś wytwarzano. Podobał mi się ten steampunkowy klimat. Oprócz mojej agencji w budynku mieściły się siedziby firm konsultingowych, biuro rachunkowe oraz

kilka biur nieruchomości. Na pierwszym piętrze niegdyś znajdowała się restauracja, która, zanim splajtowała, proponowała „egzotyczne sushi i tapas”, a także salon z orientalnymi dywanami.

Mój gabinet wcześniej należał do jakiejś ambitnej spółki internetowej; niczego nie tworzyła, jak również nie przynosiła zysków. Upadli tak nagle, że załapałem się na bardzo korzystną cenę. Błyskawicznie się wynieśli, pozostawiając eleganckie metalowo-szklane żyrandole, a nawet kilka bardzo drogich foteli biurowych.

– Więc twierdzi pan, że któryś z członków zarządu oczernia pańską spółkę – powiedziałem, powoli się obracając – i chciałby pan, żebyśmy... jak pan to ujął...? „zatkali przeciek”. Zgadza się?

– Otóż to.

Obdarzyłem go swoim najefektowniejszym konspiracyjnym uśmiechem.

– Czyli chce pan, żebyśmy założyli podsłuchy na ich telefonach i zdobyli dostęp do ich skrzynek e-mailowych.

– Hej, to pan się na tym najlepiej zna – odrzekł, po lizusowsku mrugając okiem. – Nie mam zamiaru pana pouczać.

– Lepiej nie znać szczegółów, prawda? Nie zgłębiać naszych sztuczek.

Dwa razy energicznie skinął głową.

– Żeby w razie czego mógł się wszystkiego wyprzeć. Rozumie pan?

– Oczywiście. Zdaje pan sobie sprawę, że to, o co mnie pan prosi, jest nielegalne?

– Obaj jesteśmy dużymi chłopcami.

Musiałem przygryźć wargę. Jeden z nas, owszem.

Wtedy zadzwonił mój telefon – wewnętrzna linia – a ja podniosłem słuchawkę.

– Słucham?

– A więc miałeś rację – rozległ się niewyraźny głos

Dorothy Duval, mojej specjalistki od analizy danych elektronicznych. – Facet nie nazywa się Philip Curtis.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

– Nie wymądrzaj się.

– Nic z tych rzeczy. To świetna okazja do nauki. Powinnaś już wiedzieć, że nie warto kwestionować tego, co mówię.

– Jasne, jasne. Cóż, jestem w kropce. Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, złap mnie na komunikatorze, a ja to sprawdzę.

– Dzięki – rzekłem i odłożyłem słuchawkę.

Mężczyzna, który nie był Philipem Curtisem, mówił z wyraźnym chicagowskim akcentem. Niezależnie od tego, gdzie teraz mieszkał, wychował się w Chicago. Miał bogatego ojca: świadczył o tym odziedziczony zegarek Patek Philippe.

Do tego dochodziła czarna etykieta bagażowa na jego walizce od Louisa Vuittona. Mała karta pokładowa. Wynajmował prywatny odrzutowiec na określoną liczbę godzin w roku. Co oznaczało, że chciałby mieć prywatny odrzutowiec, ale nie było go na to stać.

Przypomniał mi się artykuł, który widziałem na BizWire, dotyczący kłopotów pewnej rodzinnej firmy z Chicago.

– Przepraszam jeszcze na chwilę – powiedziałem. – Muszę ugasić pożar. – Następnie wysłałem wiadomość do Dorothy za pomocą komunikatora.

Odpowiedź nadeszła po niecałej minucie: artykuł z „Wall Street Journal”, który Dorothy ściągnęła z ProQuest. Przejrzałem go i już wiedziałem, że przeczucie mnie nie myliło. Przypomniałem sobie, że niedawno słyszałem tę obrzydliwą historię.

Rozparłem się w fotelu.

– Powiem panu, na czym polega problem – rzekłem.

– Problem?

– Nie interesuje mnie pańska firma.

Oszołomiony, obrócił się, żeby na mnie popatrzeć.

– Co pan powiedział?

– Jeśli pan naprawdę odrobił pracę domową, to pan wie, że wykonuję zlecenia wywiadowcze dla prywatnych klientów. Nie jestem detektywem, nie zakładam podsłuchów w telefonach i nie zajmuję się rozwodami. No i za cholere nie prowadzę terapii rodzinnej.

– Rodzinnej...?

– Tutaj wyraźnie chodzi o sprzeczkę w rodzinie, Sam.

Na jego policzkach pojawiły się niewielkie okrągłe różowe plamki.

– Mówiłem, że mam na imię...

– Niech pan sobie daruje – przerwałem mu ze znużeniem.

– To nie jest kwestia zatkania przecieku. Pańskie rodzinne kłopoty nie są tajemnicą. Miał pan przejąć firmę tatusia, ale dowiedział się, że rozmawia pan z inwestorami o wykupieniu Richtera.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Jego ojciec, Jacob Richter, zaczynał od prowadzenia parkingu w Chicago, by stworzyć największą sieć luksusowych hoteli na świecie. Ponad sto pięciogwiazdkowych hoteli w czterdziestu krajach plus dwie linie rejsowe, centra handlowe, biurowce i od cholery nieruchomości. Wartość spółki szacowano na dziesięć miliardów dolarów.

– Tak więc tatuś się wkurzył – ciągnąłem – i odstawił pana na boczny tor, a pańską starszą siostrę uczynił prezesem zarządu i prawowitą spadkobierczynią. Tego się pan nie spodziewał, co? Myślał pan, że jest pewniakiem. Ale nie zamierza pan puścić tego płazem. Zna pan wszystkie brudne tajemnice tatusia, więc postanowił pan go nagrać, gdy załatwia podejrzone interesy w branży nieruchomości, proponuje udziały w nieuczciwych zyskach i łapówki, a wtedy, dzięki szantażowi, będzie pan mógł odzyskać dawną pozycję. To się chyba nazywa brzydkim zwyczajem,

prawda?

Twarz Sama Richtera zrobiła się ciemnoczerwona, niemal fioletowa. Dwie wypukłe żyły na czubku jego głowy pulsowały tak mocno, jakby za chwilę miał dostać zawału na środku mojego gabinetu.

– Z kim pan rozmawiał? – spytał ostro.

– Z nikim. Po prostu dokładnie pana sprawdziłem. Zawsze lubię wiedzieć, z kim robię interesy. No i bardzo nie lubię, gdy się mnie okłamuje.

Richter zerwał się na nogi i pchnął fotel – jeden z drogich foteli biurowych, które zostawili ludzie ze spółki internetowej – a ten runął na podłogę, pozostawiając wyraźne zagłębienie w starym drewnie.

– Jak na faceta, którego ojciec siedzi w więzieniu za oszustwo, zgrywa pan strasznie porządnego – rzucił, kiedy był już przy drzwiach.

– Ma pan rację – przyznałem. – Przepraszam, że zmarnowałem panu czas. Znajdzie pan wyjście? – Za nim stała Dorothy z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Victor Heller był... największą szumowiną na świecie!
– wybuchnął Richter.

– Jest – poprawiłem go.